



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



## JASTRZĄB GOŁĘBIARZ.

Gdy nad strome wierzchołki gór wzniesie się król ich, wspaniały orzeł, śledzimy z wielkim zajęciem każdy ruch jego, pełen jakowejś dumy i majestatu, bawi nas też niejednokrotnie przebiegłość lisa, probującego wszelkich sposobów, by obrócić w niwecz zabiegi myśliwego, i pojmujemy, gdy owiec nieobojętny dla nauki wyrzeka się czasem pewnej już

zdobyczy, aby przypatrzeć się właściwościom tych bogato przez naturę wyposażonych istot.

Ale jastrzębie nie mają w sobie nic szlachetniejszego, nie, czemby sympatyczniejsze budziły w nas zainteresowanie; są one najpospolitszego gatunku rozbójnikami, nie przebierającymi w środkach i sposobach swej napaści i mordy. Głó-

# KRÓLEWICZ

POWIEŚĆ Z XV WIEKU

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

wnym zaś przedstawicielem tego rodu jest, powszechnie u nas znany, *jastrząb gołębiarz*, który od wróbla do cietrzewi, i głuszca, od myszy do sarnięcia, dla wszystkich rozbojem swym jest groźny, podczas gdy w niczem przyrodzie nie zdaje się być pożytecznym.

To też każdy myśliwy nie zna miłosierdzia dla niego, śledzi go i upatruje, by oswobodzić okolicę od najgorszego tępicielela zwierzyny wszelkiej, której mocą swego dzioba i szponów podolać może.

Mimo jednak tępienia nie brak gołębiarza zarówno w Europie jak Azji, od południa aż do mroźnych stron północy, ma bowiem szczególną zdolność przystosowania się do zmian temperatury powietrza i położenia kraju, trzymając się równie dobrze w górzystych okolicach, jak i na otwartych równinach, lub w zwartych lasach.

Jak wszystkich pokrewnych sobie drapieżnych ptaków zewnętrzny wygląd gołębiarza zdradza dość znaczną stosunkową siłę i dzikość wielką. Dość też jest spojrzeć na gruby w nasadzie, łukowato ku dołowi zakrzywiony, czarny dziób jego, na żółtej barwy, ostremi szponami uzbrojone nogi, wreszcie na nieprzyjemny blask żółtych ocz jego, aby powziąć przekonanie, iż jest on niejako uosobieniem bezwzględnej drapieżności.

Długość ciała tego jastrzębia wynosi 70 cm., w sięgu zaś, to jest z rozpostartymi skrzydłami, trzyma więcej niż 1 metr; barwy na grzbiecie ciemno brunatnej, spodem białawe, w poprzeczno ciemne pręgi, ogon również pręgowany, wierzch głowy czarny i takąż szeroka za okiem podłużna plama stanowią, chociaż nie barwny, jednak wcale nieszeptny strój naszego rabusia.

Nigdy niezaspokojony, o każdej porze dnia upatruje on ofiary, to wzbijając się wyżej, to zwolna zakreślając właściwe sobie koła, a ukazanie jego wzbudza największy postrach i popłoch między drobniejszem szczególniej ptactwem, na które uderza zarówno w ich locie, jak gdy przysiadą do ziemi, kryjąc się trwożliwie wśród traw i zarośli.

Przed szponami jego nie ochroni się nawet ptak wodny, ani cień leśny nie da innemu zabezpieczenia; wszędzie napada a z taką zaciętością ściga swą ofiarę, że nieraz za gołębiami wpadał do gołębnika lub do otwartych stodół, albo też z podwórka unosił kurczęta i małe kaczki, przypłacając oczywiście tymczasem zuchwalstwo swoje życiem lub swobodą.

Dla trwożliwych kuropatw, których szczególnym jest tępicielem, bywa jastrząb postrachem tak wielkim, że biedaczki nie zerwą się do lotu, nawet gdy im grozi myśliwy i dopuszczają wyżła zupełnie blisko swego ukrycia — jakby z tej strony mniejsze czuły niebezpieczeństwo. Bywały jednak wypadki, że jakby lekceważąc sobie palną broń strzelca, lub też zbyt ufając szybkości swego lotu, rzucał się jastrząb i w takiej chwili na upatrzoną zdobycz, a porwawszy ptaszka w swe szpony, lotem błyskawicy wzbijał się w obłoki, by wyszukać oddalone a swobodne miejsce, gdzieby łup swój mógł z całą spożywać swobodą.

Nie udała się jednak obrzydłemu rabusiowi zamierzona napaść w chwili, którą artysta na załączonej przedstawił rycinie, celny bowiem strzał myśliwego zdruzgotał jastrzębiowi lewe skrzydło, więc choć niezdolny już do ucieczki, z zaciętością jednak broni przystępu do siebie dwóm wyżłom, które też, jakby wylęknione niezwykle położeniem, zdaleka tylko obiegają ptaka do chwili, dopóki ich pan nie nadejdzie.

— A na tej ziemi, kędy walczył ród Arpadów, którąśmy krwią swoją skropili, rozsiadź się Niemiec, a my i dzieci nasze będziemy u nich sługami lub żebrali chleba! — zawołał z zapalem Gyöllös!

— U Niemców, hm, u Niemców — powtórzył ze smutkiem Kopaszad, któremu ogniste wyrazy Gyöllösa trafiły jakoś do serca.

I okazała swoją postacią wstrząsnął z oburzeniem.

— Kiedy tymczasem Władysław poprowadzi nas na Turka, bo choćby mu nie chodziło o nas, będzie chciał zabezpieczyć same siebie i swoich poddanych — dorzucił Hollos, słuchający dotąd w milczeniu sprzeczki towarzyszy.

— Taki dzieciuch! — rzekł Kopaszad, lecz miękkiem już i na poły pojednawczym głosem.

— Dzieciuch, a słysz, doskonale bronią robi, a tak konia jako i szablę po rycersku zażywa, ba, i na Turka u siebie wyprawę gotuje! — rzekł Peter Egörey.

— Ha, niema co zwlekać, jeno posłów jego zwrócić z drogi, a swoich przyłączyć, żeby jak najprędzej przybywał, a Niemcom nas nie dał — ozwał się szybko swym grubym głosem Kopaszad. Ten jak z początku się opierał, tak teraz na wspomnienie niemieckiego panowania chciał jak najprędzej widzieć na tronie króla, któryby nie trzymał z cesarzem.

Zresztą może go już nużyły te obrady, bo miłaskając językiem oglądał się za napitkiem, którego lubił co chwila używać.

Uśmiechnął się Hollos na tę gorączkową zachętę gorliwego ich jeszcze przed chwilą przeciwnika; spojrzeli też na siebie inni panowie radni, Kopaszad jednak ani uśmiechu, ani spojrzeń nie widział, teraz bowiem zajęty był tylko myślą, aby Gar nie ubiegł ich w swoich do koronacyi przygotowańiach.

— Tak, tak — powtarzał — trzeba słać kogoś wymownego, a na piśmie się też z zaproszeniem pokazać; biskup pismo to czytać będzie, a nie łatwoć się przed niem postawić.

Zaczęto więc naradzać się, kogoby wysłać, a jak wszyscy jednogłośnie chcieli już teraz Władysława, tak obecnie wszyscy zwrócili swe oczy na Jana Hollosa Hunyada, uważając go za najzaciejszego przedstawiciela swego narodu, a tem samem najgodniejszego takiego zaszczytu.

Lecz Hunyad odrzekł:

— Jam do szabli nawykły, lecz do gładkiej mowy i dworactwa się nie czuję. Dziękuję wam, zacni towarzysze i wam, panowie, za ten honor, lecz stanowczo odmawiam. Lecz jako wybrany mam niejako głos do przelania praw swoich; proponuję więc, aby wybór padł na miłościwego, a znanego z wymowy żupana, Janosa Kopaszada.

Panowie spojrzeli po sobie porozumiewająco, potem zaś z wielkiem uznaniem na Hollosa i jednogłośnie wybrali podanego przezeń kandydata. Mieli się zaś czemu dziwić, była to bowiem ze strony Hunyada wielka znajomość słabostek ludzkich a zarazem zwrot bardzo dyplomatyczny; Kopaszad bowiem, jakkolwiek nie posiadał wybitnych zdolności, miał jednak niekiedy zręczność czy też szczęście w rozmaitych fortelach. Był bardzo próżny, lubił honory i hołdy, lubił, żeby jego zdanie sobie ważono, miał wielkie zachowanie u mniej zamożnej szlachty w swoim żupanacie. Przyjmował ich bowiem hojnie i brat za brat z każdym lubił kubek wycylić, a krotochwilą zabawić.

Prócz tego wyborem tym zjednywano sobie stronnika. Kopaszad bowiem mimo próżności i uporu miał charakter

szlachetny, a chociaż w sprawach państwa niebardzo był wyćwiczony, wiedziano jednak, iż przyjąwszy poselstwo do Władysława, praw jego bronić będzie do ostatniej kropli krwi, a raz przejeżdżany do innego obozu nie przejdzie.

Jakoż Hollos nie zawiódł się w swoich rachubach; Kopaszad, połączony tym wyborem, wstał, wyprostował swą postać olbrzymią, podniósł głowę do góry, a oparłszy lewą dłoń na biodrze, przemówił:

— Mnie wielce miłościwi bracia, hrabiowie a żupanowie i zacni towarzysze! Wyborem swoim czynicie mi honor nie-lada, a jakom prawdziwy Madziar, bronić będę sprawy naszej przed napaścią stronnictwa niemieckiego i choćbym miał głowę położyć, Władysława przywiodę, abyście jego młodziutki skronie uwieńczyli koroną św. Stefana.

— *Behszépsz!* \*)

— *Fölimül minden dicseretet!* \*\*)

Wolano w uniesieniu, nawet siedzący dotąd w milczeniu Sandor Ujlakim, baron na Wrtoczy, powtórzył wraz z innymi:

— *Behszépsz!*

Gdy się uciszyło, Kopaszad zabrał głos powtórnie:

— Lecze, miłościwi panowie bracia, sam jeden nie podobam tak wielkiemu zadaniu, dodajcież mi godnych waszego zaufania i całej sprawy towarzyszy, abym nie sam jeden przeciwności po drodze potykał i nie sam jeden też z pełnego kielicha zasługi pijał.

Uśmiech znów przebiegł po twarzy Hollosa, z tej bowiem mowy znać było cały charakter Kopaszada. Skorzystał też zaraz z tego Hunyad i rzekł:

— Nie chcielibyśmy was narażać samego na niebezpieczeństwa i przykrości całej podróży i poselstwa. Według mnie godnym was towarzyszem mógłby być Sandor Ujlakim, baron Wrtoczy i dzielny dowódca honwędów.

Panowie radni spojrzeli znów porozumiewająco na siebie i z uśmiechem pochyliłi głowę. Ujlakim bowiem cichy i potulny, ale niepospolitego charakteru i mąż dzielnej prawicy, miał umysł jasny, łatwo rozumiał sprawy narodu, a oprócz tego był gorliwym stronnikiem Władysława. Najmłodszy z ich koła, niejednokrotnie już dał dowód wielkiej rozważi i umiarkowania w burzliwych sprawach kraju. Doskonale więc zrozumieli i pojęli zamiary Hunyada i jednogłośnie przyjęli wybór.

Przyjął też chętnie towarzysza Kopaszad, zdawało mu się bowiem, że cichy i uległy Sandor będzie mu posłusznym we wszystkim, pozwoli się prowadzić i będzie doskonałym narzędziem do wywyższenia jego własnej poselskiej osoby.

Gdy już wybrano posłów, Gyöllös się odezwał:

— No, a jakże będzie z tem pismem?

— Z jakim? — zapytał Ujlakim.

— A no, z zaproszeniem na tron Władysława — odpowiedział Gyöllös.

— Według mnie — ozwał się Hollos — przy tak znakomitych posłach może nie byłoby ono konieczne, jeno, że biskup Zbigniew to formalista, i że to...

A nie kończąc zaczętej myśli, zmarszczył brwi, jakby sobie chciał coś przypomnieć.

— *Verba volant scripta...*

Wyręczył go Kopaszad, zadowolony, że się ze swoją uczonością może popisać, ale jak Hollos nie mógł sobie przypomnieć całej sentencji, tak i Kopaszadowi również ostatni wyraz, jak na złość, na myśl nie przychodził.

— Manneka — dokończył Ujlakim.

— Aha, manneka — powtórzył, nie zbity z tropu Janos.

I zaraz dodał:

— Jak to już samo przyrodzenie naznaczyło, żebyśmy razem posłowali, boć jeden drugiemu teraz już dopomaga.

Ujlakim, nic nie mówiąc, skinął potakująco głową i jak to miał zwyczaj, schował ją w ramiona.

— No, tak, jeno kto napisze? — ozwał się Hollos.

Spojrzano po sobie, lecz żaden z panów radnych nie czuł się ku temu. Byli to wszystko rycerze z ręką i unysem w sprawach kraju doświadczonym, żaden jednak z piórem się nie bratał, zaledwie tam który własne swoje imię i nazwisko umiał nakreślić.

— Pargamin ci jest, pieczęć też każdy w sygnecie nosi, o wosk i inkaust łącniejby się postarać, jeno z tem pisaniem... — mówił zafrasowany Kopaszad, który ciężar poselstwa i obowiązki posła zaraz z pewną godnością brał na swe olbrzymie barki.

— Boć to rzecz duchownych, a nie nasza... — rzekł Egörey.

I zafrasowano się niepomału.

Pismo bowiem uważano za konieczne, choćby dla samego biskupa, ba, i dla dworów zagranicznych, a zwłaszcza Fryderyka, któremu całą sprawę trzeba było przełożyć o wyborze i opatrzony pieczęcią pargamin urzędownie przesłać.

— Duchownego trzeba by poszukać, a może z jakiego klasztoru... — ozwał się Kopaszad.

— Dobrze by to było, a jak nie można inaczej, trzeba i na tem skończyć, aleć to całą sprawę niepomiernie przewlecze... — rzekł, ścignawszy brwi, Hollos, naprawdę tą zwłoką zakłopotany.

— Jest ci tu ze mną łebski chłopak, Andor Attilakos, chudzina, wychowuje się na moim dworze, do pisma i do wszelkich mądrości książkowych ma łeb nielada, a ksiądz Ellek, któremu oddałem go w opiekę, chce nawet zeń duchownego zrobić. Możeby on już potrafił za naszym dyktandem napisać — rzekł Ujlakim, wysunawszy nieco głowę z szerokiego kołnierza opończy.

— Czemu by nie, skoro umie się z piórem obchodzić — podjął zaraz Hollos.

— Toć mu koncept sami do pisania podamy, a piórem skrobać — przecie nie szablą się składać; rzecz niewielka — rozwodził się Kopaszad.

— No, ale kędyż on? — zapytał Hollos, chcąc jak najprędzej sprawę z pisaniem załatwić.

— A inkaust i pióro? — zapytał Egörey.

— Pewnie, że ma, boć on zawsze z tem się nosi — rzekł Ujlakim.

I pospiesznie skierował się do alkierza, w którym jakby czekał tylko wezwania wspomniany Andor.

Siedział on, a oparłszy cienką deszczułkę na kolanach, mocno zaostrzonym patyczkiem wprawną ręką kreślił na niej litery. Co chwila jednak podnosił wazkie, ocienione długimi czarnymi kędziorami czoło i głęboko się zamyślał. Znać, nie przepisywał, lecz we własnej pamięci i umyśle szukał wiatku do wyrazów, które posłuszna mu ręka stawiała. Kto wie nawet, czy Ujlakim ze swoim ciebem a rozważnym usposobieniem nie przewidział potrzeby pismaka i chłopca ku temu nie sprowadził. Nikt go jednak o to na razie nie podejrzewał, a każdy był zadowolony, że na przygotowanym pargaminie będzie miał kto żądanie radnych nakreślić. Na pierwsze skrzypnięcie drzwi zerwał się chłopak, odstawił deszczułkę i rozumnymi ciemnymi oczami spojrzął na swego opiekuna. Wzrok młodzieńca pytał najwyraźniej:

— „Czym już potrzebny?” wzrok ten jeszcze więcej mógł każdego w mniemaniu utwierdzić, że Ujlakim umyślnie go przyprowadził.

— Pójdź! — rzekł baron — a zabierz pióro i inkaust — dodał dość głośno.

Ten rozkaz był już zbyt cichym. Gdy tylko drzwi się otwarły, i Andor ujrzał swego dobroczyńcę, wyjął z zanadza gęsie pióro, zatknął je za ucho, a inkaust zamknawszy szczelnie w drewnianym, blachą wyłożonym kałamarzu, zawiesił na rzemyku u pasa.

Tak uzbrojony zjawił się u proga i niskim pokłonem witał zebranych, oczekując dalszych rozkazów.

Chociaż niby to skromnie miał oczy spuszczone, jednak błyskiem ich od razu objął zebranych.

— Istny skryba — mruknął Gyöllös, ujrzawszy młodzieńca z całym pismiennym rynsztunkiem.

\*) Wybornie!

\*\*) Zasługujesz na najwyższe uznanie.

Ujłakim uśmiechnął się z zadowoleniem, a Hollos skinął na przybyłego, mówiąc:

— Siadaj i pisz, co ci podyktujemy.

Andor skłonił się znów nisko, potem wyprostował swą smagłą i kształtną młodzieńczą postać i posuwistym krokiem zbliżył się do siedzących, szukając wzrokiem odpowiedniego do pisania miejsca. Trudne to jednak było zadanie „siaść i pisać”. Stołu bowiem w izbie nie było, radni siedzieli pod ścianą na ławach lub chodzili wzdłuż izby.

— Za waszem pozwoleniem, miłoścy panowie — rzekł Andor, zbliżając się do ławy, w tej chwili opróżnionej; — czy mogę jej użyć miasto stołu?

z za pasa paczkę cieniutkich, wązkich, razem związanych deseczek. Wyjął z nich jedną, oraz zaostrzywszy patyczek znowu spojrzął na otaczających, jakby chciał powiedzieć:

— Jestem gotów, dyktujcie.

Chwila była milczenia, nikt nie chciał pierwszy ze swoim słowem wystąpić.

— Poczynajcie, hrabio na Szöreny! — rzekł Kopaszad, zwracając się do Hollossa.

— Możebyście wy poczęli, żupanie... — odpowiedział tenże.

— Jeżeli na mnie spada honor i ciężar poselstwa —



Wejście do sztolni Czartoryi.

— Sprytna bestya! — mruknął Kopaszad.

A Hollos powtórzył:

— Bierz, siadaj i pisz!

I położył przed nim pergamin.

Andor w części spełnił tylko rozkaz, miasto bowiem siaść, ukląkł na oba kolana, odczepił kałamarz od pasa, postawił go na ławie, wyjął pióro z za ucha, spróbował na paznociu i spojrzął na Hollosa, oczekując dalszych rozkazów.

— Możeby pierwszej na czym innym pisma spróbował? — szepnął Egörey.

— Ba, i koncept łatwiej byłoby odmienić, pergamin rzecz droga — dorzucił Gyöllös, gdy tymczasem Kopaszad i inni przypatrywali się młodemu skrybie z wielkiem zaciekawieniem.

Lecz Andor czy dosłyszał szep panów, czy też z własnego natchnienia, pióro napowrót założył za ucho; wy dostał

odrzekł Janos — do was, coście tego honoru przyjąć nie chcieli, koncept petycyi należy.

— Wyście się przecie na dworze cesarza Zygmunta chowali, a potem i przy królu Albrechcie przez ciąg jego panowania bawili, toć wam najsmadniej takie rzeczy wiedzieć — rzekł Egörey.

— Chowałem ci ja się więcej w obozie, niż na cesarskim dworze, a od małego już za Turkiem się uganiałem, rzeczy więc wymowy i konceptów pisarskich nie chowam w głowie — odrzekł Hollos, a twarz jego mocno ogorzała od słońca stała się nagle purpurowa, jakby blaski tych bitew, o których wspomniał, odbiły się nagle na jego obliczu.

— Aleć jeżeli waszmość panowie bracia chcecie, rozpoczną dyktować, a potem razem rzecz całą ułożymy — dodał. I głosem dobitnym, przywykłym do rozkazywania, począł:

Do

*Najjaśniejszego Władysława.*

Potem wyliczył wszystkie jego tytuły, przynależności i ziemie, nad którymi panował. Ale miasto, żeby mu coraz łatwiej szło, przeciwnie koncept nie tylko jemu, ale i wszystkim radnym, nie chciał na język przychodzić.

jego ciemną pochyloną głowę, jako też i na leżącą przed nim pokreśloną, czarnymi znakami deseczkę, padało małe światło opromienionych na długich tykach lampek, którą każdy z przybyłych przyniósł ze sobą; boć całe tajemne ich zebranie odbywało się w nocy.

Gdy już skończono dyktować, i każdy pełną piersią



Sztolnia Ponikowska.

Mimo to, każdy coś dorzucał, słowa swoje wygładzał, a biedny Andor kreślił, a nawet niejednokrotnie językiem wyliczywał napisane wyrazy. Wreszcie skończyła się mozolna praca tak dla dyktujących jako i piszącego. Na czoła panów radnych pot spływał kroplisty, z wyjątkiem tylko Sandora Ujlakima. Ten, zasunawszy się w węgiel izby, siedział milczący i tylko od czasu do czasu spoglądał na piszącego. Na

odetchnął, a rękawem otarł pot z uznojonego czoła, Sandor Ujlakim się ozwał:

— Dobrzeby teraz całość usłyszeć.

— To się wie — odparł Kopaszad, który miał czoło najwięcej uznoje i najmocniej sapał. Miał zaś taką minę, jakby sam jeden był autorem owej z taką pracą podyktowanej petycji.

— Czytaj więc, skrybo, jak ci tam z imienia... — rzekł Hollos.

— Andor Attilakos — rzekł, powstając z klęczek, młodzieniec. Przenikliwym swym wzrokiem powiódł po otaczających i dźwięcznym głosem zaczął czytanie.

(d. c. n.)

## NA ZIEMI I POD ZIEMI.

(Z wędrówki po kraju).

(Dokończenie).

Było to około r. 1430, kiedy zamożność, a zarazem występki owych ludzi, doszły do takich rozmiarów, że św. Jan Kanty, który tu był naówczas proboszczem, zaczął ich napominać surowo i wzywać do poprawy. Ale natchnione wyrazy świętobliwego pasterza nie zdołały wzruszyć zatwardziały grzeszników, ufnych w potęgę posiadanego kruszcu, nie troszczących się wcale o karę, jaka ich mogła spotkać w wieczności. Taki stan rzeczy przejmował go niesłychaną boleścią. Długo jeszcze nie przestawał gromić, zaklinać, a nawet prosić w imię Chrystusa, nieposłusznych parafian swoich o nawrócenie i pokutę, aż nareszcie widząc, że niczem ich już skruszyć nie potrafi, postanowił opuścić to miejsce zgorzienia i zbytku. Uprosiwszy więc najprzód swoich zwierzchników o wyznaczenie następcy, bardzo wczesnym rankiem odprawił po raz ostatni cichą mszę w farnym kościele, i nie zabrawszy nic ze swego domu, oprócz brewiarza i najniezbędniejszych rzeczy na drogę, wybrał się z kijem w rękę do Krakowa, gdzie już odtąd miał do śmierci zamieszkać. Stanąwszy na granicy owej rozległej piaszczystej przestrzeni, gdzie w głębi ziemi opatrzna dłoń umieściła tyle skarbów, których ludzie tak haniebnie nadużywali, raz jeszcze zatrzymał się święty kapłan i jał oplakiwać stratę tych dusz powierzonych swojej pieczy. Po chwili zaś zastanowiwszy się nad przyczyną ogólnego zepsucia, zjął z nóg obuwie i otrząsając takowe nad jedną z najbliższych kopalni, zawołał ze świętym oburzeniem: „Oby ten marny kruszec, za który kupujecie sobie potępienie wieczne, tak głęboko zatonął we wnętrzościach ziemi, ażebyście go ani wy, ani potomkowie wasi nie dostali!”. Po tych słowach mąż święty oddalił się z tego miejsca i osiadłszy na zawsze w Krakowie, pracując z wielkim pożytkiem, jako profesor teologii, świętobliwie życie zakończył. Dotąd, przy wspomnianej wyżej farze w Olkusz, znajdują się szczątki kaplicy wystawionej na cześć św. Jana Kantego, (zaliczonego w poczet świętych Pańskich 1767 r.) oraz skromny dworek, w którym zamieszkiwał będąc tutaj proboszczem.

Prawdopodobnie opuszczenie parafii, przez czczonego od wszystkich pasterza, które jego następcy musieli w sposób właściwy wytłumaczyć ludowi, musiało wpłynąć korzystnie na poprawę obyczajów, gdyż wydobywanie srebra i ołowiu trwało jeszcze długo z wielką korzyścią dla gwarków i skarbu. Najważniejsze szyby były naówczas: pilecki i ponikowski. Była też jeszcze sztolnia Czartorya, która ciągnęła się aż do rzeki Przemszy. Według świadectwa Łukasza Opalińskiego, wydobywano tu na rok 6,000 mark czystego srebra, a 50,000 centnarów ołowiu; a w 1578 r. nawet była w Olkusz mennica, wielkie przynosząca dochody.

Ale w kilkanaście lat później skończyła się pomyślność tutejszych mieszkańców, do czego przyczyniły się najwięcej zazdrość i chciwość posiadaczy tak mniejszych, jak większych oddziałów kopalni, co dla osiągnięcia dla siebie jak największego zysku, wzbraniał się od płacenia olbory i nie chcieli łożyć na utrzymanie kopalni. Z czasem następowały coraz cięższe klęski, w których pobożniejsi, znający z tradycji słowa świętego Jana Kantego, dopatrywali palec Boży, karzący za grzechy przodków, aż do dziesiątego pokolenia. W r. 1655, podczas znanego wszystkim oblężenia Częstoch-

wy, szwedzki generał Müller, nie tylko ogromnymi kontrybucjami obłożył mieszkańców Olkusza, ale zabrawszy z sobą górników do kopania przykopów nieopodal Jasnej-Góry, przyczynił się do zatracenia na zawsze zawartych w tamtejszych kopalniach skarbów. Z owych zaś nieszczęśliwych górników, dwaj tylko cudownym sposobem powrócili w rodzinne strony. Nie na tem jednak jeszcze skończyły się tutejsze nieszczęścia: w r. 1674 bowiem, niespodziany wylew rzeki Baby, pozalewawszy wszystkie szyby, zniszczył je do reszty. Odtąd też już żadne środki później przedsiębrane, nie zdołały ocalić kopalni.

W r. 1712 zapadły się i dwie pozostałe sztolnie: poniowska i pilecka, a kiedy w r. 1728 sprowadzono tu górników z Saksonii, celem zbadania kopalń olkuskich, ci znalazłszy jeszcze 6 szybów otwartych, zdołali się niemi spuścić zaledwie do siedmiu sążni głębokości. Reszta już była zupełnie zalana.

Dziś cała korzyść ogranicza się na wydobywaniu z górnych części dawnych kopalń rudy cynkowej, czyli galmanu. Leży on tam wpośród pokładów wapienia, tak zwanymi przez górników żyłami i gwiazdami. Do największych kopalni galmanu należą: Ulisses w Krążku i Józef w Bolesławiu, położone najbliżej Olkusza. Okolice ich są puste, roślinność bardzo uboga, ptaki nader rzadko się tu gnieźdzą, gdyż pył galmanu zatruta powietrze, a chów bydła i owiec zaczyna się dopiero o kilka mil odległości.

W samym Olkusz trudno jest dopatrzeć śladu dawnej zamożności; jest on dziś miastem powiatowym, liczącem około 5,000 stałych mieszkańców, bez żadnego większego znaczenia pod względem przemysłu i handlu.

### Chęciny.

W dalszej wędrówce naszej, pominiemy piękne i czysto utrzymane miasto gubernialne Kielce, a natomiast zwiedzimy kolejno znajdujące się niedaleko, w promieniu kilkomiłowym kopalnie marmuru, znane oddawna pod nazwą gór chęcińskich.

Zawierały one niegdyś w dość znacznej obfitości skarby niemiennie cenne od olkuskich, tutaj bowiem równie jak i tam, wydobywano nie tylko srebro i ołów, ale nadto piękne minerały: malachit i lazulit, oprócz marmuru rozmaitej barwy i gatunku, jaki do naszych jeszcze czasów w znacznej ilości się znajduje. Z tej też przyczyny, już od r. 1494 zaprowadzono w Chęcinach prawa górnicze na podobieństwo olkuskich, które następnie w r. 1505. stałe określone i poświadczono zostały.

Powoli jednakże wskutek ogólnych nieszczęść krajowych dochody czerpane z gór chęcińskich zmniejszały się tak dalece, że ich właściciele nie widząc w tem dla siebie żadnej korzyści, zaprzestali zupełnie wydobywania wyżej przytoczonych minerałów, poprzestając jedynie na marmurze. Nauka mineralogii, zalicza marmur do tak zwanej gromady wapienia, do której należy również wapień włóknisty, tworzący głównie stalaktyty i nacięki w pieczarach skał wapiennych, jak np. u nas w okolicach Ojcowa. Marmur, czyli wapień ziarnisty, bywa cenionym, gdy jest zupełnie biały, drobnoziarnisty, twardy i nie poprzerzywany zabarwionymi żyłkami. Marmur taki służy na wyroby najpiękniejszych dzieł rzeźbiarskich. Najślawniejsze łomy takiego marmuru, znajdują się około miasta Karary we Włoszech i na greckiej wyspie Paros.

W górach chęcińskich niema też wcale białego marmuru, lecz przeważnie popielaty, mniej lub więcej ciemnej barwy, upstrzony najrozmaitszymi żyłkami, centkami i pasmami, a nawet znaczkami muszelek i skamieniałościami pierścienic i rurówek, jak np. we wsi Szewce o 2 mile od Kielc, gdzie się znajdują aż trzy kopalnie. W Kajetanowie, o 2 mile od Kielc, znajdują się łomy marmuru czarnego, wpadającego w barwę stalową. Pod miastem Małogoszczem, dobywa się również marmur ciemno-popielaty, poprzerzynany ieco jaśniejszymi żyłkami. Posuwając się dalej ku obrębowi Chęciny, napotykamy góry: Zelejowską, albo Zelejową, Sosnowkę, Dobrzańską, Okraglicę, Rzepkę i Sokołówkę, z których

wydobywa się corocznie znaczna ilość marmuru, używanego na pomniki, tablice, słupy i inne ozdoby architektoniczne.

Samo miasto Chęciny mimo dość pospolitej powierzchni, ma za sobą świetną przeszłość, czego dowodzą malarznicze zwaliska zamku, uważanego niegdyś za niezdołoty — którego założenie według ścisłych lat historycznych, sięga jeszcze 1301-go roku. Tutaj niegdyś podczas wojen przechowywano klejnoty i ważniejsze dokumenta krajowe; tu również przebywali rozmaici książęta, wodzowie i wysocy dostojnicy kraju. Ale już od r. 1657 rozpoczęły się niesłychane kłęski dla chęcińskiego zamku, przeciągające czarnem pasmem, aż do r. 1707, w którym zniszczony przez Szwedów, nazawsze już pozostał opuszczonym.

Piękną ozdobę miasteczka stanowi także kościół parafialny w gotyckim stylu, zbudowany przy końcu XIV-go w., z marmurowym ołtarzem i wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela. Godnem uwagi jest tu jeszcze więzienie warowne przerobione z dawniejszego klasztoru Ojców Franciszkanów i synagoga żydowska, wznosząca się wpośród niewielkich kamieniczek i domów mieszkańskich. Ludność miasta Chęcin wynosi podług najnowszych obliczeń przeszło 5,000 różnej płci i zawzięcia mieszkańców.

E. L.

*Gordon Stables.*

## WYPRAWA DO GRENLANDYI

1

### bieguna północnego.

(Dalszy ciąg).

Trzeba było mieć dużo siły charakteru, żeby nie podać się rozpaczcy. Pomyślcie tylko. Byli tak zmordowani i wycieńczeni, że się ledwie na nogach trzymali, a choć znajdowali się teraz na potężnej bryle lodowej, mogła ona w jednej chwili pęknąć pod naciskiem innych brył, które ze strasznym hukiem i zgrzytem uderzały o nią. Niebo zaciągnęło się czarnymi chmurami, i drobny śnieg zaczął padać. Dokoła nich kawały lodu podnosiły się na grzbietach fal, wykonując piekielny taniec, a dalej, u brzegu Grenlandyi, bałwany rozbijały się o góry i spadając tworzyły katarakty.

Reynolds patrzył na to i przez parę minut milczał: ludzie pomęczeni usiedli na wywróconej łodzi, niektórzy nawet położyli się na śniegu. Wszyscy czekali co powie kapitan. On nareszcie zwrócił się do nich z westchnieniem, to jest zaczął wdychać, ale widząc przygnębione twarze towarzyszy przemógł się i rzekł wesoło:

— Czy wiecie, co mi morze powiedziało? Że dalej nie dojdziemy, ale ja mu odrzekłem, że wylądujemy na tem skalistym wybrzeżu, gdyż Bóg dał mi panowanie nad falą.

— A więcej nic panu morze nie powiedziało? — zapytał Olaf.

— Morze nie, ale góry, które widzimy u brzegu, mówiły mi, że i one zostały zaniezione przez prąd, więc i nas ten sam los czeka. A co chłopcy, czy nie dodałem wam odwagi?

— Hurra! hurra! — zawołali wszyscy, a psy, widząc tę niespodziewaną radość, wspinały się na ramiona i lizały twarze swych panów.

— Teraz zapalimy papierosa, rozłożymy namiot i zabierzemy się do obiadu.

— A potem pójdziemy spać — zapytał Collin.

— Naturalnie, gdyż wszyscy upadamy ze znużenia.

W pół godziny potem Joe zawołał do obiadu. Reynolds z Olafem stał wtedy nad brzegiem lodowca i spoglądał posepnie na morze, bo coprawda położenie naszych przyjaciół nie było do pozazdrosczenia.

Za górami Grenlandyi, do których tak wdychał Reynolds, słońce zachodziło krwawo za ciemnymi chmurami. Promienie jego łamały się o kanty brył lodowych, przeświecały przez szkliste tafle, rzucając na nie rdzawe odbłaski, i w tem świetle bałwany rozbijające się o góry przybrzeżne, nabierały barwy pomarańczowej. Słońce powoli zasunęło się za Grenlandyę i chmury pociemniały, z brązowych stały się szare, potem czarne i noc nadeszła, noc krótka co prawda, ale pełna grozy.

— Nic na to nie poradzimy — rzekł Reynolds, odchodząc z Olafem do namiotu; gdy mówił, starał się uśmiechnąć, ale mu się to nie udało.

— Ja myślę, że i owszem — odpowiedział Olaf.

— A to w jaki sposób?

— Zjemy dobry obiad, to odwaga w nas wstąpi.

Obiad naturalnie nie mógł współzawodniczyć z wysukaniami obiadaniami angielskimi, ale wszyscy, nie wyłączając Cezara i Keltie byli zadowoleni.

Joe podał czarną kawę, zapalono fajki a po godzinnej rozmowie i pacierzu Reynolds zapytał:

— Cóż moi chłopcy, jakże będzie ze strażą dzisiejszej nocy?

— Tak jak na okręcie, ja zacznę — rzekł Sigurd.

— A ja po panu — odezwał się Svolto.

Reszta wsunęła się w wory futrzane i pomimo zgrzytu druzgocących się brył lodowych, marynarze niebawem zasnęli.

Sigurd siedział chmurny przed namiotem i przysłuchiwał się wyciu wicheru, który niósł tumany mgły i drobnego śniegu i zasypywał mu oczy, tak, że dzielny żeglarz pomimo wytrwałości, drżał nieraz od zimna.

Śnieg padał coraz gęstszy, tak, że po godzinie cała okolica była biała.

Potem nagle wyjaśniło się, chmury się rozeszły, i na niebie ukazały się gwiazdy a na zachodzie jaśniał czerwony księżyc.

Zwykle księżyc daje tajemniczy pozór każdej miejscowości, ale tu morze, pokryte lodem, który przybierał fantastyczne kształty i barwy w jego niepewnym świetle, było prosto przerażające. Więc prostą ale wrażliwą naturę Sigurda dziwnie to przygnębiło.

Stał w środku martwego morza i zawsze mu się zdawało że śnieg jest całunem, zgrzyt brył dzwonieniem, a łoskot fal łkaniem przy umarłym. Tak, wszystko dokoła umarło. Przewrócone łodzie wyglądały, jak gdyby je przed wielu laty porzucono, a namiot okryty śniegiem zdawał się kryć nieboszczyków.

Ażebym odpędzić te widziadła, zbliżył się do namiotu, i nasłuchiwał uważnie. Lecz równy oddech śpiących uspokoił go zupełnie.

Czas już było zbudzić Svolta, i Sigurd zbliżył się do jego posłania, ale widząc, jak chłopiec spi smacznie i obejmuje małego Keltie, żał mu się go zrobiło i ostrożnie wysunął się z namiotu.

Wiatr coraz się wzmagał i podnosił fale, które z głuchym łoskotem rozbijały się o lodowce.

Powiadają, że każda siódma fala jest najsilniejsza. Być więc może, że to owa siódma rzucała jedne bryły na drugie, tworzyła wiry, lub przewracała całe szeregi lodowców. Nieraz ponad głowę Sigurda przelatowały kawały lodu tak wielkie jak cegła i spadały na miękki śnieg.

Czy było zimno? Ogromnie zimno! i towarzyszy, który był więcej przyzwyczajony do czynów niż do marzeń, naciągał gumowy kaptur na głowę i śpiesznie chodził dokoła namiotu.

Tymczasem księżyc wszedł wysoko i zrobiła się noc jasna jak dzień. Teraz ruszę opowiedzieć jedno zdarzenie,

choć ono powiększyło tylko okropność położenia naszych przyjaciół.

O milę na północ na skalistej wysepce ukazał się ogromny biały niedźwiedź i spoglądał na morze, szukając, czy nie zobaczy jakiej foki, gdyż był bardzo głodny, za nim szła niedźwiedzica, i po chwili zatrzymali się na wystającym cyplu. Gdyby ktokolwiek ujrzał ich, jak stali obok siebie, toby przysiągł, że to nie są zwierzęta ziemskie, ale jakieś apokaliptyczne bestye, tak wydawały się potężne na tle jasnego nieba.

Niedźwiedzie ujrzały zapewne namiot i człowieka chodzącego dokoła, gdyż znikły ze skały i morze roztworzyło się przed nimi, a po chwili fale zamknęły się, iż można było myśleć, że potwory utonęły. Ale o kilkanaście kroków dalej wyrzała jedna biała głowa, za nią druga, i zwierzęta skierowały się do bryły, na której odpoczywali spokojnie nasi przyjaciele.

Ale droga była ciężka do przebycia, bo nietylko trzeba było walczyć z prądem, ale przesuwac się między kawałami lodu, które wykonywały szalony taniec, ocierając się i uderzając jedne o drugie. Nieraz koło nich wyrzała głowa lwa morskiego, lecz one nie były dość silne, aby z nim walczyć. Raz przepłynął tuż obok wielki narwał, połyskując swoją białą włócznią. Byłby je oba nanizal na dziesięciostopowy żab, gdyby się znalazły na jego drodze.

Olaf miał dziwny sen. Śniło mu się, że szedł z Collinem po pustem polu lodowem i nagle ze szczeliny wysunął się straszny potwór i otoczył przyjaciela długimi ramionami jak węże.

Ocknął się z krzykiem i zbudził tem Collina. Obydwaj wstali.

— Trzebaby już zmienić straż, bo pewnośmy zaspali.

I wyszli obaj przed namiot i zatrzymali się na brzegu bryły, którą morze rzucało jak okrętem bez steru.

Niedźwiedzie przyplnęły blisko, i wyszły z wody przygotowując się do napadu! Ale Olaf dostrzegł poruszającą się białą masę i zaczął wołać:

Niedźwiedzie! niedźwiedzie! Collin prędko strzelbe!

Obydwaj popędzili do namiotu, wołając: niedźwiedzie! Joe i Reynolds wyskoczyli ze swego woru i na wpół przebudzeni chwycili za broń.

Tymczasem niedźwiedzie klusem przybiegły do namiotu i ryknęły tak przeraźliwie, że najodważniejsze serce by zadrżało. Ale Sigurd nie znał trwogi. Stał on trzymając wiosło w rękę i tem wiosłem zamierzył się na niedźwiedzicę, która szła na przędzie. Wiosło pękło na dwoje, on uderzył raz jeszcze pozostałym drągiem, a niedźwiedzica wyjął z bólu zwała się na niego.

Na szczęście wypadli z namiotu Olaf i Collin i dwie kule położyły trupem niedźwiedzia, który słysząc ryk samicy, wspinał się na tylne nogi i grożąc białymi zębami, szedł na obu chłopców. Lecz tylko Olaf strzelał, bo fuzya Collina nie była nabita.

Sigurda nikt nie widział, gdyż leżał obok łodzi, przywalony z drugiej strony przez niedźwiedzicę, która tylko ryczała, ale była zanadto ogłuszona żeby powstać. Marynarzowi udało się wyslizgnąć z boku; dobył nóż z za pasa i raz po raz

zadawał jej uderzenia w kark. Ale byłby drogo przypłacił swoje szaleństwo, bo potwór odwrócił się na bok, i łapami zaczął się bronić. Lecz Collin i Olaf z błyskawiczną szybkością porwali wiosła i napadli na nią z tyłu; niebawem wspólnymi siłami udało im się ją zabić.

Tej nocy już nikt nie spał; bo gdzie są dwa niedźwiedzie, może ich być i dwadzieścia, należało więc mieć się na baczności.

Podczas gdy Svolto zdzierał skórę z niedźwiedzicy, Olaf ukląkł na śniegu obok niedźwiedzia i uważnie go oglądał. Nagle wykrzyknął:

— Sigurd! Collin! Reynolds! chodźcie prędzej. To niedźwiedz który zabił mojego ojca! Sigurdzie, patrz na te bliźny! To on? prawda?

Sigurd obejrzał niedźwiedzia.

— Tak by się zdawało.

Olaf wybuchnął płaczem, ale się opanował i rzekł:

— Sigurd, zdejm z niego skórę, bo ja nie mogę.

Burza z każdą chwilą się wzmagala. Fale urwały wielki kawał bryły, na której się znajdował obóz i przez jakiś czas spadał taki deszcz piany, lodu i słonej wody, że przyjaciele nasi zmuszeni byli ukryć się pod namiotem.

Tam uradzono, że nicpodobna jest pozostawać dłużej na miejscu, i że bądź co bądź trzeba dostać się na wzgórek lodowy z poza którego napadły niedźwiedzie, bo lodowiec na którym się wznosił był o wiele większy i mocniejszy.

Natychmiast zwinięto namiot i przerzucono go przez szczelinę, następnie obie łodzie i w dawnym obozowisku pozostał tylko Sigurd, Svolto i Reynolds, którzy zbierali wiosła i inne drobne przedmioty.

Brzask zaczął rozjaśniać niebo na wschodzie, u góry świecił księżyc i oba światła zlewając się w dziwnie fantastyczny sposób, oświetlały lodowce i stojących na nich ludzi. Podróżnicy zwrócili oczy na zachód, patrząc z upragnieniem na tę ziemię obiecaną, gdy nagle rozległ się huk podobny do wystrzału armaty i mniejsza bryła rozpadła się na drobne kawałki.

To była straszna chwila. Ci, którzy już się znajdowali na nowem obozowisku, myśleli, że towarzysze ich zginęli, z początku nie mogli im dopomóc, gdyż piana i woda morska zupełnie ich osłepiła.

Pierwszy Józef odzyskał przytomność.

— Chłopcy, bierzcie sznury, odwagi i spokoju!

W jednej chwili dobyto powrozy.

Coś w morzu czerniło się i niby głowa unosiła się ponad pianą. Józef rzucił sznur i wydobyto Reynoldsa nawpół zmarzniętego. Sigurd dzielnie płynął trzymając się bryły lodu, ale groziło mu wielkie niebezpieczeństwo, gdyż rozkołysane morze rzucało go o lodowce.

Svolto wpadł blisko brzegu. Schwycił on sznur, rzucił Sigurdowi, lecz widząc straszne położenie przyjaciela, poświęcił się, przyplnął po niego i podał mu sznur. Wydobyto ich obu szczęśliwie, potem rozłożono namiot, aby się mogli przebrać, zagotowano herbatę, i wkrótce wszyscy się znów zebrali nad brzegiem, patrząc na wschód słońca.

(d. c. n.)

#### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Jastrząb gołębiarz (z ryc.) — Królewicz, powieść z XV wieku przez Z. Morawską. — Na ziemi i pod ziemią (z ryc.) — Gordona Stables, Wyprawa do Grenlandyi i bieguna północnego. — Dodatek: Tajemnica, wiersz (z ryc.) — Pogadanka z wujem. — Na ślizgawce. — Bracia jaszczurkowie. — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.



# WIECZORY RODZINNE

## TAJEMNICA.

Jaką ja znam tajemnicę,  
Ach, jak wielką tajemnicę,  
Lecz nikomu jej nie zwierzę,  
Nikogo nią nie zaszczycę!...  
Bo gdyby tak, miły Boże,  
Ludzie o niej się zwiędzieli,  
Straszna szkoda by się stała:  
Wszystko zmienić wnet by chcieli..

\* \* \*  
I wróbelkom nic nie powiem,  
Chociaż wśród nich tak wesoło,  
Bo świegocąc dzionek cały,  
W ciągłym ruchu bez przestanku,  
Wszędobylskie te gaduły  
Wnet za nasze bodaj sióło  
Rozniosłyby wieść napewno,  
Choćby jeszcze w tym poranku!..

\* \* \*  
Także chociaż, bardzo lubię  
Dziadunia mego wyżlicę,  
Co to z dziećmi tak się bawi,  
Tak rozumnie patrzeć umie...  
Lecz jej przecie zwierzyć trudno  
Moją ważną tajemnicę,  
Bo doprawdy sama nie wiem,  
Czy mię stary pies zrozumie!..

\* \* \*  
Chytry kotek się przymila,  
Gotów już nastawić uszka,  
Mruczy zcicha miękkiem głosem,  
Jakby dawał przyrzeczenia...  
Oj, nic z tego, mości panie,  
Nie ujmiesz mego serduszka,  
Znam cię dobrze, wiem co znaczą  
Twe spojrzenia, przymilenia!..



Ale jednak szkoda wielka,  
Że nikt inny w całym świecie  
O ciekawej tajemnicy  
Nigdy nie ma się dowiedzieć;  
I mnie samej jakoś nudno,  
Nawet trudno jest też przecie  
Nigdy o tem ni sylaby  
Do nikogo nie powiedzieć!..

\* \* \*  
Więc tak myślę, że nie zgrzeszę,  
Gdy tych ważnych słówek parę  
Mej siostrzyczce zwierzę zcicha...  
Mogę czynić to bezpiecznie —  
Ona nigdy mię nie zdradzi,  
Chętnie temu daję wiarę,  
A tak o to ładnie prosi,  
Tak całuje mnie serdecznie!..

M. D.

## POGADANKA Z WUJEM.

— A czy wszystkie pływające ptaki mają takie płaskie i szerokie dzioby, jak kaczki?

— Pod tym względem rozmaitość jest bardzo wielką; i tak widzimy u jednych dzioby długie i ostre, jakimi uzbrojone są mewy morskie, u innych krótkie, a grube, końcem na dół zakrzywione, jakie zdobią alki morskie, wreszcie jest szczególny ptak, pelikanem zwany, o którym ci ciocia czytała wierszyk, a który jest również ptakiem wodnym, co ma dziób stosunkowo bardzo gruby i dłu-

gi, a u jego dolnej części skórzaną torbę, służącą mu, ni-by spiżarnia, do przechowania na czas jakiś zapasów zdobytej żywności.

— Czy to ten sam ptak, co to dla swoich dzieci, gdy są głodne, rozdziera sobie piersi i własną krew je żywi?

— Ten sam właśnie, tylko opowiadanie to jest legendą, czyli bajką, bo chociaż pelikany wzorowymi są rodzicami, jednak nie potrzebują zdobywać się na tak

wielką ciężką, gdyż wystarczy im rozdzielić tylko zapasy z owej spiżarni czyli torby.

— Jakie to zabawne, wujku, szkoda, że nasze kaczki takich dziobów nie mają!

— Dziób kaczki odznacza się również charakterystyczną cechą; ale może zauważyłeś sam coś szczególnego, gdyś w ręku trzymał ptaka, a on, krzyżąc, szeroko dziób otwierał.

— Widziałem, wujku, po obu jego brzegach jakby małe zębki, ale może mi się to tylko tak zdawało, bo przecie wuj mówił...

— Nie zdawało ci się wcale, dzioby bowiem kaczek opatrzone są rzeczywiście szeregiem narostków rogowatej natury, które wszakże zębami nie są, lecz tylko tak zwanymi *blaszkami*; oprócz tego na końcu tego dzioba znajduje się również taka rogowata blaszka, u niektórych gatunków haczykowato na dół zagięta. Ponieważ zaś nie same kaczki, lecz również gęsi i łabędzie posiadają taką samą budowę dzioba, która ich łączy w jedną rodzinę, więc oprócz ogólnej nazwy *pletwonogich*, nadano im jeszcze dodatkową *blaszkodziobych*.

— Prawda, wujku, że one ładniej wyglądają na wodzie, niż kiedy chodzą po ziemi?

— Słuszna uwaga, woda bowiem jest ich żywiołem, na niej poruszają się swobodnie, gdy na lądzie chód ich jest niezgrabny, kołyszący się, a pochodzi to stąd, że mają one nogi, jako głównie do pływania przeznaczone, bardzo ku tyłowi posunięte.

— Ale jak się to dzieje, że chociaż cały nieraz ptak zanurzy się w wodzie, jednak nie wygląda wcale jakby jego piórka były mokre? Walentowa mówiła mi, że trochę deszczu przemoczy kurę albo indyka, ale po gęsi i kaczce woda zawsze spłynie; czy to prawda, wujku?

— Najzupełniejsza prawda. Żebyś jednak zrozumiał dlaczego tak jest, trzeba ci przedewszystkiem wiedzieć, że z wszelkiej tłustości woda spływa prawie bez śladu, o czym możesz się przekonać choćby dzisiaj po obiedzie, gdy wylejesz ze szklanki trochę wody na talerz po pieczyście. Otóż przyroda obdarzyła wszystkie ptaki pływające, a więc przeznaczone do bezpośredniego i ciągłego zetknięcia się z wodą, bardzo gęstem i dobrze zatłuszczonem upierzeniem. Wystarcza im więc po wyjściu na ziemię strząsnąć się trochę, co też chętnie czynią, aby nawet zwierzchnie piórka, zwilżone nieco, prawie całkiem osuszone zostały. Pierze też ptaków wodnych, bogate w lekki i ciepły puch, cenione jest przedewszystkiem, jako najlepszy materiał na pościel, a gęś i kaczka, mające oprócz pierza, smaczne mięso, stały się koniecznymi w każdym dobrem gospodarstwie.

(d. n.)

## NA ŚLIZGAWCE.

— Raz! dwa! raz! dwa! Trzymaj się prosto — woła ojciec Józia, trzymając za rękę synka, który na łyżwach sunie po gładkiej, lśniącej powierzchni stawu w Saskim ogrodzie.

Józio jest to mały, bo zaledwie pięcioletni chłopczyk. Ma na sobie płaszcz brązowy i czapeczkę obłożoną futrem, z pod którego wygląda buzia zarumieniona i oczki błyszczące. Józio bardzo lubi ślizgawkę, a że jest dobrym, grzecznym chłopcem, ojciec w niedzielę i święta, kiedy nie jest zajęty, prowadzi go do ogrodu.

Józio stara się dziś ślizgać jaknajlepiej. Uważa, trzyma się prosto, aby czasem nie stracić równowagi i broń Boże, nie upaść, bo byłby to wstyd nielada! I tak już ten pan, co tak prędko mknie po lodzie i robi takie trudne zakrętas, patrzy się na niego z uśmiechem. Józio jest przekonany, że śmieje się z niego. Ba! gdyby on umiał tak ślizgać się, jak ten pan, fruwałby po lodzie, jak ptaszek, tyłkoby mu skrzydełek brakło.

— Ruszaj-że się prędzej, Józiu, bo zmarzniesz — woła ojciec.

Ale Józio się temu opiera.

— Cóż znowu, tatusiu! Jest mi tak ciepło, doprawdy. Z początku, jakem wszedł na lód, było mi zimno, ale teraz — to nic a nic. O, niech tatuś zobaczy.

I Józio przyciska rękę tatusia do swej rozpalonej twarzyczki.

— No, dobrze już, dobrze — mówi ojciec.

A Józio ślizga się dalej! Tak mu przyjemnie na ślizgawce, zimna nie czuje, starsi łyżwiarze usuwają się przed nim na bok, aby go nie przewrócić. Wdzięczny im jest za te względy bardzo.

— Józiu, czas już do domu! — woła ojciec.

— Mój tatusiu, mój złoty, jeszcze troszeczkę — prosi Józio.

Wreszcie łyżewki zdjęte, i Józio, wesoło pobrzękując niemi, zabiera się do powrotu.

— Wiesz, tatusiu, tak mi się jeść chce, aż strach — mówi.

— Aha! to widać po ślizgawce. Masz dziesiątkę, kup sobie ciastko w cukierni.

— Kupię czekoladowe z kremem, dobrze, tatusiu — pyta Józio, całując rękę ojca.

Przy wyjściu z Saskiego ogrodu Józio zatrzymuje się nagle. Tuż przy bramie widzi kobietę, trzymającą za rękę małego chłopczyka, chłopczyk ten ubrany jest w jakąś podartą sukieneczkę. Twarz jego jest tak blada i mizerna, a ręka, którą wyciąga do przechodniów, prosząc o jałmużnę, tak sina i skostniała, że Józiovi na jego widok łezki zakręciły się w oczach.

— Mój tatusiu, czemu ten chłopiec taki błądy? — pyta Józio, tuląc się do ramienia ojca.

— Zimno pewnie biedakowi — odparł ojciec.

— Józio zamyślił się. Nagle, puszczając rękę ojca, podbiega do chłopca.

— Masz dziesiątkę — mówi szybko, wsuwając mu pieniądz w rękę — kup sobie gorącej herbaty, mnie się już jeść nie chce...

Chłopczyk podziękował Józiovi, uściśnął go i tatuś za dobre serduszko, dodając jeszcze trochę pieniędzy na obiad w tanej kuchni dla chłopczyka i jego matki.

# BRACIA JASZCZURKOWIE

(Dalszy ciąg).

— Uciekajcie! uciekajcie! Nieprzyjacieli! Wleźmy na to drzewo!

W istocie, wśród gęstej trawy ukazała się głowa żmii, a Grubosław, pędzony strachem, zaczął się wspinać na drzewo. Wąż tymczasem, nie patrząc na jaszczurki, pełzał sobie spokojnie dalej.

— Och ty, tchórze! — zawołał Kłopotek — to nie nasz nieprzyjaciel, nie masz się czego obawiać. A wiesz ty, że on idzie z wizytą do ciebie? Pełza prosto na twoje drzewo.

Grubosław spojrział na dół i spostrzegł błyszczące oczki żmii i jej rozdwojony, drgający języczek. Przerazenie odebrało mu przytomność, już, już czuł się w paszczy węża. Ogłuszony trwogą, nie słyszał nawoływań braci, którzy krzyczeli, żeby się nie bał, żeby się dobrze trzymał, bo spadnie... w mniemaniu, że go ściga żmija brunatna, stracił głowę, nie wiedział, co się z nim dzieje, i puściwszy gałązkę, na którą się schronił, skoczył z wysokości na ziemię.

Okrzyk zgrozy wydarł się z piersi osłupiałych braci.

Chyżomir pierwszy się opamiętał i skoczył do Grubosława, Mocobój i Kłopotek biegli za nim.

— Żyjesz jeszcze, braciszku? — spytał Kłopotek.

— Niby żyję — odpowiedział słabym głosem Grubosław, usiłując się uśmiechnąć — żyję... w trzech czwartych.

— My cię tak żałujemy, boimy się o ciebie, a ty sobie jakieś żarciki stroisz; to bardzo brzydko — rzekł Mocobój.

— Ach niestety! Gdzie mi tam żarty w głowie! — zawołał Grubosław, i posunął się z trudnością o parę kroków naprzód.

Wtedy bracia spostrzegli, że ogonek jego odłamał się w tym ciężkim upadku, a biedny Grubosław nie minął się wcale z prawdą: jedna czwarta jego osoby leżała martwa na trawie.

— Gdybyś się był nie rozsypiał po kątach podczas opowiadania cici żaby — rzekł Mocobój — byłbyś wiedział, że żmija wodna nie zjada jaszczurek.

— Mnie się ona wydawała wyraźnie brunatną, a przytem, któżby się nie przestraszył! Laziła wprost ku mnie na drzewo.

— Trzeba było lepiej patrzeć — łajał Mocobój. — Kłopotek taki maleńki, a poznał ją. Ot.. nieszczęście się stało, teraz jesteś kaleką, ani mowy, byś mógł iść z nami w dalszą drogę. Musisz sobie wyszukać schronienia, gdzieś tu, w pobliżu, żebyś mógł wyżyć, póki ci ogonek nie odrośnie.

Bracia przyznali słuszność Mocobojowi i wzięli się natychmiast do pracy, by wynaleźć dobre mieszkanie dla Grubosława. Trafiała się obszerna i wygodna mysia dziura, a że przypominała trochę rodzinne gniazdo, podobała się Grubosławowi, choć najmilej by mu było, gdyby mógł dalej z braćmi wędrować. Jakże sobie wyrzucał swoją

ospałość, jak żałował, że nie słuchał uważnie nauk cici żaby! Dziś, musiał pokutować za swoje niedbalstwo.

Mocobój, Chyżomir i Kłopotek pożegnali Grubosława i puścili się w dalszą podróż.

Ponad łąką leciał bocian, szukając żeru... schowali się czemprędzej za wielki szary kamień i siedzieli tam póty przytuleni jeden do drugiego, póki długonogie ptaszysko nie znikło w oddaleniu.

— Ach, gdyby to tak latać jak bocian! — westchnął Kłopotek.

— Może cię nóżki bolą? — spytał Mocobój.

— Troszkę.

— No, to się tu rozłożymy na nocleg; trzeba odpocząć, pokrzepić siły, kto wie, co za przygody jutro nas czekają.

Kłopotek usnął niebawem, bo był okropnie zmęczony; przez całą noc marzyło mu się o olbrzymich jaszczurkach przedhistorycznych czasów, o pradziadach skrzydlatych, o strasznym Blufblafie z okrągłemi oczyma.

Mocobój z Chyżomirem gawędzili jeszcze czas jakiś, troskali się o los Grubosława i ślubowali sobie wierną braterską pomoc w każdej potrzebie, w każdym niebezpieczeństwie. Potem pokładli się spać.

Dobrze się stało, że Mocobój wypoczął sobie porządnie, bo nazajutrz rano ciężka go czekała przeprawa. Krwiożercza żmija brunatna chciała się rzucić na Kłopotka; szczęściem Mocobój spostrzegł ją w porę i jednym susem stanął przy braciszku, by go zasłonić własnym ciałem od nieprzyjaciela. Ale ten dowód poświęcenia i miłości braterskiej nie wzruszył nikczemnej żmii: owinęła się w mgnieniu oka trzy razy koło biednej jaszczurki i ścisnęła tak silnie, że biedny Mocobój stracił oddech na chwilę.

— Mam cię, chłopaczku! — zasyczała złośliwie; — widzisz moją rozwartą paszczę? Zaraz cię połknę. Widzisz moje ostre zęby? Przeszyję cię niemi na wylot.

— Nie boję się twojej paszczy, nie boję się twoich zębów — odparł Mocobój zuchwale. — Nic sobie nie robię z twoich pogroźek, ty poczwaro!

Żmija trzęsła się ze złości.

— Uciekajcie! — zawołał do braci, którzy stali bezradni i osłupiali. — Uciekajcie! Chyżomir niech pamięta o maleńkim braciszku; uciekajcie coprędzej, jak daleko was nogi poniosą. Niech mnie zje ten potwór, byleście wy ocaleli. Ale nim zginę, bronić się będę, ile sił starczy, do ostatniej kropli krwi.

— A długo to tego bronienia? — spytała zjadliwie żmija. — Czujesz mój oddech trujący? Oddechem tym odurzę cię, obezwładnię... cóż, nie omdlewasz jeszcze, mój młody bohaterze?

(d. c. n.)

S Z A R A D A.

przez E. M.

*Pierwsze i drugie* głos jeden wydaje,  
*Trzecie* podróżnych wiedzie w różne kraje;  
*Wszystko*—myśliciel, tworzący dzieł wiele,  
Czczony, gdy wskazał w nich szlachetne cele.

**ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.**

ułożył Wróblek.

Z następujących sylab: Oj — tu — o — mi — la — an — grun — o — is — ry — an — wi — mer — am — u — le — e — sier — o — rze — ców — ryn — le — ne — śni — ra — ca — lo — to — gia — tyl — wald — le — rzech — lan — szard — dya — ne — to — ga — ni — śnia — ku — ster — ry — dam — cho — nar — wa — to — pień — wicz — ce — czo — an — wnik — ułożyć 21 wyrazów, których drugie litery złożony mają imiona i nazwisko poety i historyka XVIII wieku. Znaczenie wyrazów: 1) Wieś nad Prądnikiem. 2) Miasto we Włoszech. 3) Miasto na Szlasku. 4) Dział nauki przyrodniczej. 5) Pora roku. 6) Gromada wysp na oceanie Atlantyckim. 7) Miasto znane bitwą w r. 1410. 8) Owoc w twardej łupinie. 9) Wyspa na morzu północnem Lodowatym. 10) Imię kilku królów angielskich. 11) Jezioro w Rosyi. 12) Imię męskie. 13) Drobnny owoc. 14) Planeta najbliższa słońcu. 15) Miasto w Holandyi. 16) Organ zmysłu. 17) Autor Lirenki. 18) Imię żeńskie. 19) Nazwa miesiąca. 20) Wielki obszar wód. 21) Część mowy.

**ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.**

Ułożyli Z. K. i T. G. dla Isi i Kazia.

\* \* \* \* \*  
\* \* \* \* \*  
\* \* \* \* \*  
\* \* \* \* \*  
\* \* \* \* \*

Ułożyć 5 wyrazów pięciogłoskowych, których litery oznaczone gwiazdkami pionowo i poziomo złożony mają tytuł jednej z powieści Sienkiewicza. Rząd 2) Znany lekarz Zygmunta Augusta. 3) Górzysty kraj Azji. 4) Przysłówek miejsca. 5) . . . . .

**ROZWIĄZANIA DO N-ru 6-go.**

Szarady: Se — kret.

*Łamigłówniki w dwukracie:*

D  
e r a  
c z a r a  
K o w n o  
D r a w a

**Skrzynka do listów.**

P. *Natalii Bil.* w Olchowcu. Prosimy o przysłanie jakiej małej próby swej pracy, trudno bowiem wydać sąd o rzeczy nieznannej.

P. *E. Sz.* z Kam. Pod. Tytuł pisma niemieckiego dla panienek starszych jest: „Töchter-Album“, zeszyt. 12, rs. 4 kop. 50; dla młodszych „Kranzchen“, 52 num. rs. 6 kop. 20 z przesyłką.

P. *Stanisławie Gł.* w Kiszyniewie. Właściwie dobrego podręcznika w tym kierunku nie posiadamy, wyszło obecnie dzieło obszerniejsze, p. t. *Obraz literatury powszechnej w streszczeniu i przykładach*, ułożony przez p. Chmielowskiego i E. Grabow-

skiego, odpowiedni tylko dla starszych. Cena rs. 7 kop. 50 bez oprawy. Podręcznika zaś historyi niema innego oprócz Szujskiego w skróceniu.

Wiersz p. *Witalisa Grzel.* nie nadaje się do druku, myśl ładna ale opracowanie pod wielu względami zdradza początkującego autora, który, chcąc pisać, powinien dużo pracować.

Dla *Jodełki* nr. 5 *Wieczorów* odesłaliśmy zaraz. Czy habry malowane na liściku własnoręcznej są roboty? jeżeli tak—to wieszujemy milej zdolności malarskiej, bo bardzo się nam one podobały.

Geografia ilustrowana K. Jurkiewicza o którą zapytuje *Olgierd Michał.* bez oprawy kosztuje rs. 10, w oprawie zwyczajnej rs. 12 k. 60, a w ozdobnej o 1 rs. drożej. Kosztów przesyłki prenumeratory *Wieczorów* nie ponoszą.

Łamigłówniki *Maniusi Skaw.* o ile się okażą odpowiednie drukowane będą. Nowo przybywający prenumerotorowie otrzymują bezpłatnie początek powieści „Wśród chmur i słońca” prosimy tylko o przysyłanie dokładnego adresu, bez którego nie możemy zażądać uczynić żadnemu żądaniu. Mamy już obiecały komedijkę znanej autorki *Seweryny Duchwińskiej*, nie wiemy jednak dotąd ile w niej osób występować będzie.

*Plącząca Brzoza* zrobiła nam prawdziwą przyjemność swoim listem, żałujemy tylko, że długo kazała czekać na to pierwsze odezwanie. Cieszymy się bardzo, że *Wieczory* z zajęciem czytają nie tylko nasza Brzózka ale i starsze osoby z jej rodziny. Przesłane wierszyki zarówno polotem myśli jak rzewnością uczucia zdradzają zawiązki talentu, który rozwinięty może przy odpowiednim kształceniu umysłu i umiejętności władania formą poetyczną. Przesłanych prób drukować nie możemy, ale kiedyś będziemy może sami prosili o utwory dzisiejszej czytelniczki.

Łamigłówniki *Rybaka* z nad Wisły i *Wróbelka* zdaje się, że drukowane będą, potrzeba tylko poprawić niektóre wyrażenia.

Dobre rozwiązania szarad i łamigłówek nadesłali: *Wróblek, Aniela R., August Gier., Miecz. Ster., Jadwisia Bron., Różowa bibułka* i *Stas* z Niwki.

**OGŁOSZENIE.**

**NOWE KSIĄŻKI DLA OSÓB STARSZYCH.**

**Słownik apologetyczny wiary katolickiej**, podług d-ra Jana Jaugę'a opracowany i wydany staraniem X. Wł. Sześcińskiego, mag. teol. i groma współpracowników (Zeszyt XI), obejmujący wyrazy od „Religia Chaldae” do „Stanisław Biskup Krakowski—męczennik czy rewolucjonista?” Warszawa. 1897.

**Królowa.** Powieść historyczna z czasów Napoleona 1-go. Podług źródeł szwedzkich opowiedział \* \* \*. Tłumaczył Włodzimierz Trąpczyński (z portretem Dezyderyi, królowej szwedzkiej i norweskiej). Warszawa. Nakładem księgarni Dubowskiego i Gajewskiego. 1897.

**Włodzimierz Zagórski** (Chochlik). „Mój pierwszy dzik” i inne nowele. — (Boże drzewko w dziecięcym niebie. Opowiadanie starego proboszcza). — Upiór. — Zawada. — Suknia pani Ireny. — Grób pana Marcina. — Mimoza. Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki. 1897.

**Zygmunt Sarnecki.** *Szklana góra.* Baśń w trzech aktach a pięciu odsłonach. Kraków. Nakładem księgarni G. Gebethnera i S-ki. 1897.

**Walery Przyborowski.** *Rycerz Mora.* Po rież z czasów pierwszego najazdu szwedzkiego. Warszawa. Nakładem księgarni Dubowskiego i Gajewskiego. 1897.

**NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI.**

Zosia, Wicio i Felek z Sokołowa rs. 1 kop. 50. — Stefcia i Jadzia J. sześć chusteczek. — Helenka Iwan. kop. 50. — Maniusia K. kop. 50.